ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh.

ROK V. NR 20/204/

LONDYN, NIEDZIELA 20 MAJA 1951 R.

G. K. CHESTERTON TŁUM. A. DOBOSZYŃSKI

PROWINCJA RZYMSKA—BRYTANIA

Wśród wielkiego dorobku pisarskiego G. K. Chestertona znajduje się również nieduża książeczka, zatytułowana „History of England". Napisana została na zamówienie wydawcy, ukazała się w r. 1928 i od tego czasu była przedrukowywana w kilkunastu wydaniach.

Nie jest to w ścisłym znaczeniu historia Anglii. Są to raczej szkice i eseje, w których Chesterton daje przegląd głównych problemów religijnych, społecznych, kulturalnych dziejów angielskich. Metoda pisarska jest typowo chestertonowska: problem wydobywany jest ostrym kontrastem, nagłym zestawieniem, paradoksem. Lecz u spodu tych luźnych, pozornie, uwag i skrótów, biegnie nurt silnie związanej koncepcji ogólnej na temat dziejów angielskich, z silnym podkreśleniem czynnika zasadniczego — religii, jej wzniesień i odpływów, co tak silnie odcisnęło się zarówno na dziejach jak i psychice ludzi tej wyspy.

„Veritas" nabył prawa autorskie „Short History of England" na wydanie polskie. Jest ono przygotowywane i ukaże się w doskonałym przekładzie jednego z najlepszych polskich anglistów — w czasie niedługim, o ile tylko warunki papierowe na to pozwolą.

RED.



"G.K.C."

WYSPA, na której żyjemy, miała niegdyś ten wysoce poetycki przywilej, że była krańcem świata. Na jej skraju, zwanym „ultima Thule", zaczynało się — nigdzie.

Gdy te wyspy, zgubione w pomroce mórz północnych, dostały się w końcu w światło dalekosiężnych reflektorów Rzymu, wydawało się Rzymianom, że dotarli do najdalszego kresu rzeczy i to raczej dla zaspokojenia dumy, niż dla posiadania.

Poczucie to było uzasadnione nawet względami geograficznymi. Ten kraj na końcu wszechrzeczy miał w sobie rzeczywiście coś, czego nie można określić słowem innym niż krańcowość. Brytania mniej jest wyspą niż archipelagiem, a przynajmniej jest labiryntem półwyspów. W niewielu innych krajach można tak łatwo i tak dziwnie znaleźć morze wśród pól, czy pola wśród morza. Wielkie rzeki zdają się nie tylko spotykać w oceanie, lecz o mało nie stykają się ze sobą wśród pagórków; cały kraj, choć na ogół nizinny, opiera się na zachodzie na górach. Prehistoryczna tradycja każe mu szukać w stronie zachodzącego słońca wysp jeszcze senniejszych, niż on sam. Wyspiarze zaś podobni są do swej wyspy. Choć podzieleni obecnie na różne narody, na Szkotów, Anglików, Irlandczyków, Walijczyków z zachodnich pogórzy, różnią się wszyscy razem zupełnie od tępych, śródlądowych Germanów czy od bon sens Francais, który jest dowoli cięty lub rubaszny. Jest coś wspólnego wszystkim mieszkańcom Brytanii, czego nie potrafiły rozdzielić nawet Akty Unii.

Najtrafniej można by to było chyba nazwać brakiem bezpieczeństwa, charakterystycznym dla ludzi chodzących po skałach i po skraju rzeczy. Żądza przygód, samotne upodobanie w wolności, humor bez dowcipu, zadziwiają ich krytyków i zadziwiają ich samych. Ich dusze pokratkowane są, jak ich szaty. Wszyscy cudzoziemcy stwierdzają u nich pewne zakłopotanie: wyraża się ono u Irlandczyków pomieszaniem mowy, a u Anglików pomieszaniem myśli. Jest w ich myślach coś podwójnego, jakby odbicie duszy w wielu wodach. Spośród wszystkich narodów oni najmniej przywiązani są do czystego klasycyzmu, tej władczyni prostoty, którą Francuzi praktykują subtelnie, a Niemcy grubo, Brytyjczycy zaś prawie wcale. Lubią oni kolonizować i emigrować, znani są przy tym z tego, że w każdym kraju czują się jak w domu, we własnym zaś kraju czują się jak na wygnaniu. Są w stałej rozterce między przywiązaniem do domu, a przywiązaniem do czegoś innego, czego wytłumaczeniem, czy też tylko symbolem jest morze. Rozterka ta dźwięczy w anonimowym wierszu, deklamowanym przez dzieci, który jest najsubtelniejszym utworem literatury angielskiej i cichym refrenem wszelkich poematów angielskich — „Gdzieś za wzgórzami, hen, w oddali".

Racjonalistyczny bohater, który pierwszy podbił Brytanię, był lub nie był niefrasobliwym półbogiem z „Cezara i Kleopatry", był jednak na pewno klasycznym Rzymianinem i opisał wyspy brytyjskie z lakonicznym pozytywizmem, cechującym stalowe pióro. I ten jednak opis mieszkańców Brytanii pióra Juliusza Cezara ma w sobie coś z tej tajemnicy, która jest czymś głębszym niż nieznajomość faktów. Jak się zdaje, mieszkańcami Brytanii rządziła wówczas ta straszna instytucja, jaką jest pogańskie kapłaństwo. Głazy, dziś bezkształtne, a jednak ustawione w symboliczne kształty, świadczą o ładzie i pracy tych, którzy je dźwigali. Ich kult był zapewne kultem Natury, co przyczyniło się może do żywiołowego charakteru, cechującego nieodmiennie sztukę wyspiarską; konflikt jednak między tym kultem a tolerancją Cesarstwa każe nam się domyślać obecności czegoś, co na ogół wyrasta z kultu Natury — to jest nienaturalności.

O wszystkich jednak spornych dziś tematach Cezar milczy. Nie mówi on nam, czy język w Brytanii był wówczas „celtycki"; niektóre bowiem z nazw jej miejscowości nasuwają przypuszczenie, że język ten, w niektórych przynajmniej okolicach, był teutoński. Nie wiem ile prawdy jest w domysłach tych, uważam jednak, że doniosłość ich przesadzono bardzo mocno. Sam Cezar przyznał, że rzucił na Brytanię tylko okiem podróżnika; gdy jednak znacznie później Rzymianie wrócili i obrócili Brytanię w prowincję rzymską, wykazywali w dalszym ciągu szczególną obojętność na sprawy, które podniecają dziś tylu profesorów. Zależało im w Brytanii tylko na braniu i dawaniu tego samego co wzięli i dali w Gallii. Nie wiemy czy mieszkańcy Brytanii byli wówczas, a więc czy są dziś, Iberyjczykami, czy Cymrami, czy Teutonami. Wiemy natomiast, że rychło stali się Rzymianami.

Od czasu do czasu odkrywa się w nowoczesnej Anglii jakieś fragmenty w rodzaju np. rzymskiego bruku. Takie zabytki rzymskie oddalają nam raczej niż przybliżają rzeczywistość rzymską. Powodują one, że coś, co jest jeszcze bardzo bliskie, wydaje się dalekie, a coś, co jest jeszcze żywe, wydaje się zmarłe, tak, jakby napisać komuś żywemu napis nagrobny na drzwiach jego domu. Napis taki byłby prawdopodobnie pochlebny, odstraszałby jednak gości. Jeśli chodzi o Francję i Anglię, to nie jest to istotne, że mają one pozostałości rzymskie, ale że są pozostałościami Rzymu. Po prawdzie są one mniej pozostałościami niż relikwiami, gdyż ciągle jeszcze działają cuda. Rząd topoli jest relikwią bardziej rzymską niż rząd kolumn. Prawie wszystko, co zwiemy dziś dziełem natury, wyrosło po prostu jak grzybnia na tych dziełach starożytnego człowieka, a nasze lasy są mchem na kościach olbrzyma. Pod ściernią naszych pól i korzeniami naszych drzew leżą fundamenty, które znaczą swoją obecność odłamkami rzymskich dachówek i cegieł, a poprzez kolory naszych kwiatów polnych przebijają kolory rzymskiego bruku.

Brytania była pod bezpośrednią władzą Rzymu przez pełne czterysta lat; dłużej, niż jest protestancka, a znacznie dłużej niż jest przemysłowa. Co to znaczyło być prowincją rzymską, musimy wyjaśnić w paru słowach, inaczej bowiem nie zrozumiemy tego, co zaszło później, a w szczególności tego, co zaszło w bezpośrednim następstwie. Podlegać Rzymowi n i e znaczyło być poddanym w tym sensie, w jakim jedno dzikie plemię podbija drugie, czy też w sensie, w jakim cyniczni politycy niedawnych czasów żywili potworną nadzieję, że doczekają się wymarcia Irlandczyków. W wypadku bowiem Rzymu i Brytanii zarówno zdobywcy jak i podbici byli poganami, a obie strony miały instytucje, które wydają nam się nieludzkie w swoim pogaństwie: triumf, rynek niewolników oraz brak wszelkiego uczuciowego nacjonalizmu cechującego dzieje nowoczesne.

Jednakże Cesarstwo Rzymskie nie niszczyło narodów, a raczej je tworzyło. Mieszkańcy Brytanii nie byli nigdy dumni z tego, że byli Brytami; byli jednak później dumni z nazwy Rzymian. Stal rzymska była w tym samym przynajmniej stopniu magnesem co mieczem. W rzeczywistości było to raczej okrągłe stalowe zwierciadło, w którym każdy naród uczył się widzieć swoją podobiznę. Jeśli chodzi zaś o sam Rzym, to małość jego pochodzenia z jednego miasta gwarantowała wielkość eksperymentu państwowego. Było bowiem oczywiste, że Rzym nie mógł rządzić światem. Chcę przez to powiedzieć, że nie mógł on rządzić innymi rasami tak jak np. Spartanie rządzili Helotami, czy Amerykanie Murzynami. Tak wielka machina państwowa musiała być ludzka; musiała mieć uchwyt dostosowany do każdej ręki. Cesarstwo Rzymskie z konieczności stawało się coraz mniej rzymskie, w miarę jak stawało się coraz bardziej cesarstwem; niedługo po tym, jak Rzym dał Brytanii zdobywców, Brytania zaczęła dawać Rzymowi cesarzy. Z Brytanii, jak twierdzili z dumą jej mieszkańcy, wyszła wielka cesarzowa Helena, matka Konstantyna. Konstantyn zaś był, jak ogólnie wiadomo, tym, który pierwszy rozkazał rozwiesić tę proklamację, o której zachowanie czy zdarcie nie przestają walczyć wszystkie następne pokolenia.

O tej rewolucji Konstantyna nikt nie potrafi nigdy mówić bezstronnie. Autor tej książki nie czuje się również do tego zdolny. Stało się już od dawna komunałem, nie przestając być paradoksem, że była to najbardziej rewolucyjna ze wszystkich rewolucji, skoro martwemu ciału na niewolniczym słupie przypisała ojcostwo niebieskie. Z innej jednak jeszcze, historycznej okoliczności powinniśmy sobie zdać sprawę. Nie zapuszczając się w rozważania na temat niezmiernej wagi gatunkowej przedchrześcijańskiego Rzymu, należy jednak koniecznie wyjaśnić, dlaczego wszyscy Europejczycy, na długo jeszcze po jego upadku przypisywali mu wartości mistyczne. Dante miał na ten temat najskrajniejsze może poglądy, nasiąknęło nimi jednak całe średniowiecze, a jakby echem odzywają się one jeszcze w naszych czasach. Rzym uważano za potężnego, choć upadłego Człowieka, ponieważ był największym osiągnięciem człowieka. Z wyroków Bożych wynikało, że Cesarstwo Rzymskie musiało zwyciężyć — choćby tylko po to, by mogło upaść. Stąd szkoła Dantego wyciągała paradoksalny wniosek, że żołnierze rzymscy zabili Chrystusa nie tylko na mocy prawa, lecz nawet na mocy boskiego prawa. By zwykłe prawo mogło zawieść w chwili najwyższej próby, musiało ono być prawem rzeczywistym, a nie prostym wojskowym bezprawiem. Toteż narzędziami boskimi byli zarówno Piłat, jak i Piotr. Dlatego to średniowiecznemu poecie zależało na dowodzie, że rządy rzymskie były zwykłymi dobrymi rządami, a nie uzurpacją. Cała bowiem rewolucja chrześcijańska sprowadzała się do twierdzenia, że w tej sprawie rządy dobre były równie złe, jak rządy złe. Nawet dobre rządy nie były na tyle dobre, by rozeznać Boga wśród złodziei. Twierdzenie to ma niezmierne znaczenie, gdyż powoduje przewrót w sumieniach, utratę całego pogańskiego zaufania w pełną samowystarczalność miasta czy państwa. Nastąpiło to sformułowanie wieczystej reguły zawierającej zarzewie wieczystego buntu.

Tę właśnie okoliczność należy mieć stale na uwadze przy studiowaniu pierwszej połowy dziejów Anglii, do niej bowiem sprowadza się cały spór między duchownymi a królami.

Dwoistość rządów cywilizacji i religii utrzymywała się przez wieki i zanim przyszły pierwsze niepowodzenia, istota rządów wszędzie była ta sama. Bez względu zaś na to, jaki był ich początek, wszędzie w dużej mierze doprowadziły one do równości. Niewolnictwo istniało nadal niewątpliwie, podobnie jak w najdemokratyczniejszych państwach starożytności. Nieokrzesana biurokracja istniała niewątpliwie, podobnie jak w najdemokratyczniejszych państwach naszych czasów. Nie było jednak mowy o tym, co w naszych czasach nazywamy rządami arystokracji, a tym mniej rządami rasy. Jeśli można w ogóle mówić o jakichś zmianach, zachodzących w tym dwupoziomowym społeczeństwie równych obywateli i równych niewolników, to chyba tylko o powolnym wzroście potęgi Kościoła kosztem potęgi Cesarstwa. Głównym wyjątkiem od reguły równości była instytucja niewolnictwa, a ta łagodniała powoli pod działaniem obu tych przyczyn. Słabła ona zarówno na skutek słabnięcia Cesarstwa, jak i na skutek wzmacniania się Kościoła.

Niewolnictwo nie stanowiło dla Kościoła trudności w doktrynie, lecz wymagało wysiłku wyobraźni. Arystoteles i inni pogańscy mędrcy, którzy definiowali „sztuki niewolne", jako „pożyteczne", uważali niewolnika za narzędzie, za siekierę do rąbania drzewa czy czegokolwiek innego, co wymaga rąbania. Kościół nie potępił samego rąbania, czuł jednak, że tnie szkło diamentem. Nękała go myśl, że diament jest bez porównania cenniejszy od szkła. Chrześcijaństwo bowiem nie mogło zadowolić się pogańskim uproszczeniem, jakoby człowieka należało podporządkować pracy, gdyż dla chrześcijanina praca miała bez porównania mniej nieśmiertelnej wagi, niż sam człowiek.

Doszedłszy do tego miejsca swej opowieści, każdy dziejopis Anglii cytuje z reguły anegdotę o grze słów Grzegorza Wielkiego, której prawdziwy sens rozumie następująco: W myśl teorii rzymskiej z barbarzyńskich niewolników miał być pożytek. Jednakowoż mistyk w osobie świętego Grzegorza odkrył w nich piękno, bowiem „Non Angli sed Angeli" znaczyło tyle co „Nie niewolnicy, lecz dusze". Mimochodem warto zaznaczyć, że w nowoczesnym państwie, najbardziej kolektywnie chrześcijańskim, jakim była Rosja, liczono zawsze chłopów pańszczyźnianych na „dusze". Powiedzenie wielkiego Papieża, choć zbanalizowane, stanowi pierwszy zapewne błysk tych aureoli, które się pojawią na arcydziełach sztuki chrześcijańskiej.

Tak więc Kościół, choć obarczony wielu wadami, z konieczności własnej natury pracował w kierunku większej równości społecznej. Kłóci się natomiast z historią przypuszczenie, jakoby hierarchia Kościoła opierała się na arystokracji, czy też miała ten sam charakter. Hierarchia duchowna była raczej odwrotnością arystokracji; Kościół nauczał bowiem (przynajmniej w teorii), że ostatni mają być pierwszymi. Irlandzka bulla, głosząca, że „Jeden człowiek jest tyle wart co drugi, a nawet znacznie więcej" wyraża prawdę, jak to bywa często z powiedzeniami pozornie sprzecznymi; prawda ta z chrześcijanina zrobiła obywatela. Spośród wszystkich zwierzchników, jedynie święty nie obniża cudzej godności; nie będąc świadomym swej wyższości nad innymi, ma tylko większą świadomość swej niższości.

Podczas gdy miliony księżulków i braciszków zakonnych podgryzały, jak myszy, pęta dawnego niewolnictwa, robił postępy inny proces, który nazwaliśmy słabnięciem Cesarstwa. Dziś jeszcze proces ten trudny jest do wytłumaczenia. Podlegały mu w równej mierze wszystkie instytucje wszystkich prowincyj, a w szczególności instytucja niewolnictwa. Ze wszystkich zaś prowincyj skutki tego procesu odczuwała najdotkliwiej Brytania, leżąca na samym skraju świata, czy nawet poza nim. Nie należy jednak traktować Brytanii jako wypadku odosobnionego. Pierwszą połowę dziejów Anglii pozbawiono sensu próbując uczyć tych dziejów w szkołach w oderwaniu od owej społeczności chrześcijańskiej, do której Brytania wówczas należała. Zgadzam się w pełni z pytaniem Kiplinga: „Cóż wiedzą o Anglii ci, co znają tylko Anglię?" Nie podzielam jednak poglądu, że Anglik najskuteczniej poszerza swój umysł, zwiedzając Wagga-Wagga- i Timbuktu. Wydaje mi się przeto konieczne, choć bardzo trudne, wypowiedzieć w paru słowach pogląd na to, co się działo wówczas z resztą ludzi Europy.

Sam Rzym, twórca całego tego potężnego świata, był w nim punktem najsłabszym. Był centralą, która słabła i słabła, aż wreszcie zniknęła. Rzym w takiej samej mierze wyzwolił świat, co rządził nim, aż wreszcie przestał być zdolnym do dalszych rządów. Jeśli nie liczyć obecności papieża i jego stale rosnącej, nadprzyrodzonej powagi, Wieczne Miasto upodobniło się do pierwszego lepszego z jego własnych miast prowincjonalnych. Wynikły z tego lokalne raczej nieporządki, niż jakiś światowy bunt umysłów. Zapanowała anarchia, lecz nie wybuchło powstanie, gdyż każde powstanie musi mieć jakąś podstawę ideową, a zatym (zdaniem ludzi myślących) jakieś władze. Gibbon nazwał swe epiczne dzieło „Schyłkiem i upadkiem Cesarstwa Rzymskiego". Cesarstwo się pochyliło, lecz nie upadło. Trwa do dziś.

Choć drogą znacznie jeszcze bardziej okólną niż działalność Kościoła, ta decentralizacja i ten rozwój wypadków podważały jednak również ustrój starożytnego państwa, oparty na niewolnictwie. Rychło pojawiło się to mrowie partykularnych kacyków, które nazwano feudalizmem; pomówimy o tym później. Ten partykularyzm przyczyniał się również do zniszczenia niewolnictwa, choć był to tylko wpływ pośredni, nie pozostający w żadnym związku z bezpośrednim wpływem Kościoła Katolickiego. U schyłku pogaństwa praca niewolna, podobnie jak nasza własna praca w przemyśle upodobniająca się coraz bardziej do niewolnictwa, przybierała coraz większe rozmiary, aż wreszcie rozlała się zbyt szeroko, by można było nad nią panować. Poddany zaczął uważać, że Pan, którego widzi, jest mu dalszy, niż nowy, niewidoczny Pan. Niewolnik przekształcił się w chłopa pańszczyźnianego, tzn. można go było uwięzić, ale nie można było usunąć poza nawias. Skoro już raz zaczął należeć do ziemi, nie mogło upłynąć wiele czasu, zanim ziemia zaczęła należeć do niego. Nawet stara i niezbyt ścisła mowa tych, którzy niewolników traktowali jak bydło, rozróżnia między człowiekiem, który jest krzesłem i człowiekiem, który jest domem. Kanut mógł domagać się tronu dla siebie, jeśli jednak pragnął zasiąść w swej sali tronowej, musiał iść i zająć go sam. Podobnie mógł powiedzieć swemu niewolnikowi, by się wynosił, swemu poddanemu jednak mógł tylko kazać zostać.

Tak więc obie powolne przemiany tych czasów zmierzały do przekształcenia narzędzia w człowieka. Człowiek ten zaczął się zakorzeniać, a cokolwiek ma korzenie uzyskuje również z czasem prawa.

Schyłek Rzymu pociągnął za sobą wszędzie de-cywilizację, upadek literatury, prawa, dróg i środków komunikacyjnych, oraz przerost regionalizmu w swawolę.

Na krańcach jednak cesarstwa ta de-cywilizacja przeszła w zdecydowane barbarzyństwo na skutek bliskości dzikich sąsiadów gotowych niszczyć na ślepo, podobnie jak ogień niszczy martwe przedmioty. Poza apokaliptycznym nalotem szarańczy w postaci Hunów, było by przesadą mówić nawet w tych najciemniejszych wiekach o potopie barbarzyńców, przynajmniej jeśli chodzi o cały świat starej cywilizacji. Jednakże nie popełnimy przesady, mówiąc o powodzi barbarzyńców w odniesieniu do zdarzeń na niektórych krańcach cesarstwa; na takich skrajach znanego świata, od których opisu zaczęliśmy tę książkę. A na samym właśnie skraju świata leżała Brytania.

Możliwe, choć mało jest na to dowodów, że cywilizacja rzymska pokrywała Brytanię warstwą cieńszą niż inne prowincje; była to jednak wysoce cywilizowana cywilizacja. Ogniskowała się ona dokoła wielkich miast, takich jak York, czy Chester, czy Londyn, gdyż miasta są starsze od hrabstw, a nawet starsze od państw. Miasta te połączone były siecią wielkich gościńców, które były i są kośćcem Brytanii. W miarę jednak słabnięcia Rzymu kościec ten zaczął trzeszczeć pod naciskiem barbarzyńców.

Na początek natarli od północy Piktowie, mieszkający poza granicą Agrykoli, na tzw. obecnie Niżu Szkockim. Cały ten oszałamiający okres pełen jest krótkotrwałych sojuszów między szczepami, przy czym pieniądz grał wielką rolę; płacono barbarzyńców, by napadali i płacono ich, by sobie szli. Wydaje się pewne, że w tym zamieszaniu rzymska Brytania zapłaciła za pomoc mało okrzesanych ludów żyjących w tej szyi Danii, w której leży obecnie księstwo Szlezwigu.

Sprowadzeni po to, by walczyć z jedną stroną, walczyli naturalnie ze wszystkimi; nastąpił okres walk, pod których ciosami bruk rzymski pokruszył się na jeszcze mniejsze kawałki. Trudno się zgodzić z twierdzeniem historyka Greena, że dla dzisiejszego Anglika nie powinno być miejsca świętszego niż to miejsce w pobliżu Ramsgate, na którym wylądowali ludzie z Szlezwigu, lub z twierdzeniem, że pojawienie się tych ludzi stanowi faktyczny początek naszych dziejów wyspiarskich. Będziemy bliżsi prawdy, mówiąc, że sprowadziło to nieomal ich przedwczesny koniec.

G. K. CHESTERTON

Tłum. A. Doboszyński

JAN WINNICKI

MATKA BOSKA

ZE SZKOCJI I WALII

NIE chodzi mi tu o studium maryjne na temat Szkocji. Jasna rzecz, że zanim John Knox i inni zanieśli tam ewangelię genewską, kochano, czczono i znano Najśw. Pannę w Szkocji. Nie darmo też najsławniejsza postać szkocka, która weszła na dobre, jakikolwiek byłby o niej sąd, w ogólnoludzką legendę, królowa Maria Stuart łączy imię Marii z ziemią północnego królestwa. Do dziś dnia w Edynburgu znajdują się „schody Najśw. Panny" — „Lady's steps", jeszcze w połowie XVI wieku ostatni katolicki król, Jakób, odbywał pielgrzymkę maryjną na uproszenie sobie odpowiedniej żony i potomstwa. A w nowoczesnej Szkocji zasłynęło znane Lourdes szkockie pod Glasgowem, wyrąbane i wymurowane rękoma tysięcy robotników bezinteresownie pracujących. znane Carfin.

Pragnę tylko z dawnej pozycji szkockiej zacytować parę strofek maryjnych. Tak — na „wspominek". Biorę je z antologii angielsko-szkockiej poezji (bo nie o celtycko-szkocką tu chodzi), spod pióra Dunbara. William Dunbar (1465?—1530) zrazu franciszkański braciszek, później dworzanin, należał do tych niespokojnych duchów przełomu średniowiecza na renesans, do tych ludzi rozłamanych w sobie, którzy, podobnie jak Villon, różniej zażywali doli, lub jak jego franciszkański współbrat Rabelais. Ale mimo dość burzliwego żywota, z lutni największego pieśniarza Szkocji wzbijają się piękne i tęskne misterne strofy do Najśw. Panny (lub i do Dzieciątka), które świadczą jak bardzo Gwiazda Morza chłonęła w siebie upalne dusz płomienie, aby je zamieniać w plon nadziei. Mowa szczególna, pół-makaroniczna — w tym znaczeniu, że w podwójnych rymowaniach wewnątrz i zewnątrz fraz pieśni, chętnie naturalizuje poeta łacińskie słowa w ludowym zastosowaniu.

...O ratuj, kwiecie rzadki, różany!
Ave Maria plena —
Bądź pozdrowiony jasny, białogłowy cudzie,
Różdżko! prowadź nas i rządź nami —
O Matko Dziewic
Ty Litości drogo i Rządczyni!
Bądź pozdrowiona, o Miłościwa,
Wiecznie świeżo kwitnąca!
Bądź pozdrowiona, przybytku Alfy i Omegi,
Wszak Synek Twój godny każe nam wyśpiewywać
Przed Swym Tabernaklem żywym, którym jesteś Ty!
Wszystko, co złe odrzucamy prędko
Patrząc na zjaw jak Ty cudny.
Niechże więc Król Chwały nas do swego
Wprowadza królestwa
Z ciemnego lochu tego życia-śmierci!
Ave Maria gratia plena.
Bądź pozdrowiona, Matko, a razem
Dziewico bez skazy!
Zachwycający znaku i sygnale,
Który nasze uśmierza bóle,
Mocą tego cudu, co jest w Tobie!
Bądź pozdrowiona tak piękna ku wejrzeniu
tam w górnym niebie!
Bądź pozdrowiona, Jutrzenko Wschodu
Światłości dla nas najprzedniejsza,
wśród nocnych mroków naszego żywota,
które Ty nam rozproszysz!
Bądź pozdrowiona, potężny widoku,
Pogromczyni kuszącego wroga!
Bądź pozdrowiona ducha kotwico,
Bądź pochwalona, o Dawczyni Mocy!
Chwała Ci, Dziewico przednia! Bądź Ci chwała,
Ave Maria gratia plena.
Chwała Ci, o słodki słowiku!
Droga Ty prosta jasno ludziom przekornym wytknięta!
Tym, co zmożeni podróżą!
Bądź pozdrowiona, jaśniejąca królowo,
Chwała Ci, o najpełniejsza!
Chwała — niebiańskich sfer cesarzowo,
Chwała — o piękna, o życzliwa, o słodka Ty zawsze!
Chwała — o lilii Ty kwiecie świeży!
Chwała — pachnący polny kwiecie!
Chwała — o Jezusowa Rodzicielko! —
Co groźne pędzisz precz chmury —
Ave Maria gratia plena!
Ty niesiesz Księcia Chwały —
Bądź nam miłościwa...

W Walii długo jeszcze po nieprzyjmowanej przez ludność reformacji, „angielskiej wierze", wspominano Najśw. Pannę ku zgorszeniu ministrów protestanckich. Penrhys było miejscem najprzedniejszej pielgrzymki, miejscem złączonym z pobytami bohaterów narodowych i poetów. U stóp Najśw. Panny odbywały się zawody śpiewaczo-poetyckie w XIV wieku, w czasie chwilowego zwycięstwa w walkach o niepodległość. Toteż król Henryk V, ten sam, który walczył o Francję i przygotowywał krwawe drogi pod dramat św. Joanny d'Arc, rozegrany nie tylko na stosie w Rouen, ale i w losach jego syna Henryka VI, zniszczył klasztor Penrhys za karę — za podtrzymywanie narodowej sprawy walijskiej. Tłumy jednak dalej spieszyły na świętą wysepkę maryjną — aż Latimer, biskup-apostata i krzewiciel reformacji w Walii, zrazu przeganiany za bluźnierstwa przeciw Matce Boskiej, później narzucony przez Henryka VIII, w błazeńskim liście zachęcał kanclerza Cromwella do spalenia cudownej figury wraz z figurą Matki Boskiej Walsinghamskiej na placu kaźni w Londynie. Tak się też stało.

Również w innym miejscu, na „wyspie świętych", starym celtyckim cmentarzysku dawnych pustelników, czczono Niebieską Panienkę w Walii. Czczono Ją w formach specjalnych, w misternych poematach walijskiej mowy i pieśni, o niesłychanie skomplikowanych regułach, które przeżyły dawnowiecze, średniowiecze, reformację i znów się odradzają. Bardowie walijscy wiele o Najśw. Pannie umieli nauczać, bo byli to ludowi nauczyciele, prorocy i pieśniarze. Ale to zbyt obszerna sprawa jak na tę krótką notatkę. Niech wystarczy choć to napomknięcie, że te celtyckie ziemie zachodu i północy czciły Marię jak i inne. I cześć ta znów się odradza — dwiema drogami: obecnością katolickich zakonów, zwłaszcza Karmelitów w Walii a Dominikanów w Szkocji i powrotem do tradycji oraz pomników kultury narodowej wygrzebywanych skrzętnie z rupieciarni wieków spod nalotu obcego szutru.

Jan Winnicki

Uroczystość Trójcy Przenajświętszej



Z WYZNANIA WIARY

(według św. Atanazego)

Wiara katolicka wymaga, byśmy czcili jednego Boga w Trójcy, a Trójcę w jedności.

Ani osób pomiędzy sobą nie mieszając, ani też nie rozdzielając istoty.

Inna jest bowiem osoba Ojca, inna Syna, inna Ducha Świętego;

Lecz Ojca i Syna i Ducha Świętego jedno jest bóstwo, równa chwała i współwieczny majestat.

Jaki Ojciec, taki jest i Syn, taki też Duch Święty.

Niestworzony Ojciec, niestworzony Syn, niestworzony Duch Święty.

Niezmierny Ojciec, niezmierny Syn, niezmierny Duch Święty.

Wieczny Ojciec, wieczny Syn, wieczny Duch Święty.

A przecież nie ma trzech wiecznych, ale jeden wieczny.

Jak również nie ma trzech niestworzonych, ani trzech niezmiernych, lecz jeden niestworzony i jeden niezmierny.

Podobnie wszechmocny Ojciec, wszechmocny Syn, wszechmocny Duch Święty.

A przecież nie ma trzech wszechmocnych, lecz jeden wszechmocny.

Tak też Bogiem jest Ojciec, Bogiem jest Syn, Bogiem i Duch Święty.

A przecież nie ma trzech Bogów, lecz jeden jest Bóg.

Tak też Panem jest Ojciec, Panem jest Syn, Panem i Duch Święty.

A przecież nie ma trzech Panów, lecz jeden jest Pan.

Jak bowiem każdą osobę oddzielnie prawda katolicka Bogiem i Panem nazywać nam każe. Tak znowu trzech Bogów, albo Panów religia katolicka wyznawać zabrania.

Ojciec przez nikogo nie jest uczyniony, ani stworzony, ani też zrodzony.

Syn jest przez samego Ojca nie uczyniony, ani stworzony, ale zrodzony.

Duch Święty jest od Ojca i Syna nie uczyniony, ani stworzony, ani zrodzony, lecz pochodzący.

Więc jeden Ojciec, nie trzech Ojców; jeden Syn, nie trzech Synów; jeden jest Duch Święty, nie trzech Duchów Świętych.

I nic w owej Trójcy nie jest wcześniejsze, albo późniejsze, nic większe lub mniejsze, ale wszystkie trzy osoby są sobie współwieczne i całkiem równe.

Tak iż ostatecznie, jak już powiedziano, czcić powinniśmy i jedność w Trójcy, i Trójcę w jedności.

Kto zatem pragnie być zbawiony, takie o Trójcy świętej niech ma przekonanie.

Uroczystość Trójcy Przenajświętszej obchodzi Kościół w pierwszą niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego. Czas jest szczęśliwie dobrany, bo święto to jest jak gdyby podsumowaniem rozważań wszystkich dzieł miłosierdzia Bożego względem człowieka, od rozważań adwentowych począwszy aż po Zielone Świątki włącznie.

Uroczystość Trójcy Przenajświętszej powinna nam przypominać, że w jej Imię zostaliśmy ochrzczeni, z jej Imieniem na ustach, kładąc znak krzyża św., zaczynamy i kończymy nasze modlitwy i prace, i w jej Imię odchodzimy ze świata: w t.zw. Commendatio animae kapłan mówi: Wynijdź, duszo chrześcijańska, z tego świata, w Imię Ojca Boga Wszechmogącego, który Cię stworzył; w Imię Jezusa Chrystusa, Syna Boga Żywego, który cierpiał za ciebie; w Imię Ducha Świętego, który zstąpił na ciebie."

Wiarę w Trójcę Przenajświętszą wyznajemy w tak zwanych symbolach wiary, a więc: w odmawianym w codziennie pacierzu „Wierzę w Boga...", w Credo we Mszy św. i w odmawianym w brewiarzu symbolu atanazyjskim, zwanym tak dlatego, że ułożenie jego przypisywane jest św. Atanazemu. Podajemy tę część symbolu atanazyjskiego, która mówi o Trójcy Przenajświętszej.

Rysunek powyższy i tekst z wyznania wiary według św. Atanazego zaczerpnęliśmy z MSZAŁU RZYMSKIEGO dla świeckich, opracowanego przez benedyktyna belgijskiego o. G. Lefebvre'a, w polskim przekładzie i opracowaniu mnichów benedyktyńskich Opactwa św. Piotra i Pawła w Tyńcu, wydanego w r. 1949 przez Opactwo św. Andrzeja w Bruges, w Belgii.

LISTY DO REDAKCJI

O PSYCHOLOGII EKSPERYMENTALNEJ

Szanowny Panie Redaktorze!

Właściwie nie powinienem mieć żadnej pretensji, skoro p. B. A. Wysocki zgodził się z moim punktem widzenia, w związku z artykułem w **ŻYCIU, nr. 11.**

Pewne jednak jego zastrzeżenia i uwagi wymagają dalszego sprecyzowania.

1. Wydaje się, że dosyć wyraźnie rozróżniłem pojęcie „osobowości" od „osoby", kiedy zaznaczyłem w artykule: „Określenie osobowości ludzkiej nie może pominąć podmiotu osobowości, to znaczy osoby samej", oraz: „Przy definicji osobowości ludzkiej trzeba brać pod uwagę nie tylko zjawiska psychiczne i biologiczne, ale również naturę człowieka". Natura człowieka jest tutaj oczywiście niczym innym jak istotą człowieka, czyli „osobą" samą.

Nie chodziło więc tutaj bynajmniej o „utożsamianie", ale o uzupełnienie definicji osobowości uwzględnieniem albo wzięciem pod uwagę również osoby człowieka czyli jego istoty. „Uzupełnienie" zaś albo „wzięcie pod uwagę" nie znaczy wcale „utożsamianie". I tutaj, zdaje się, leży jedna z przyczyn mylnego zrozumienia: nie bierze się wyrazu w jego właściwym znaczeniu.

2. Inną przyczynę nieporozumienia wyraził sam p. Wysocki w trzecim punkcie swego listu (ŻYCIE, nr 15), a tkwi ona w jednostronnym nastawieniu zwolenników psychologii czysto eksperymentalnej, albo jak p. Wysocki woli: „psychologii nowoczesnej, albo naukowej, w odróżnieniu od psychologii dawnej, filozoficznej".

Z ostatniego jego twierdzenia jeden tylko logiczny wniosek wypływa: „psychologia dawna, filozoficzna" nie jest więc naukową. Taką bowiem, według p. Wysockiego, powinna być tylko „psychologia nowoczesna", czyli eksperymentalna, w odróżnieniu od dawnej filozoficznej.

Lecz czy istotnie tylko psychologia eksperymentalna ma obecnie prawo zwać się nowoczesną i naukową, a każda inna już tylko starożytną i nienaukową, albo pozbawioną charakteru naukowego? Czy p. Wysocki, mimo że przyjął, jak sam twierdzi, moją główną myśl, sądzi dalej, że psychologia scholastyczna albo spekulatywna jest już tylko zabytkiem historycznym, a miejsce jej zajęła niepodzielnie psychologia eksperymentalna, która jedynie jest „nowoczesną i naukową"?

Tutaj tkwi właśnie nieporozumienie. Jeśli bowiem uważa się za naukową tylko „psychologię nowoczesną", która, jak dowiedzieliśmy się poprzednio, posługuje się metodami znowu tylko „naukowymi, a więc obserwacją, eksperymentem i statystyką", a więc jest czysto eksperymentalną, — nic dziwnego, że z pogardą odrzuca się wówczas „psychologię dawną, filozoficzną", odbiera się jej przymiotnik „naukowy" i przeznacza się ją do muzeum historycznego.

Takie postępowanie, a zwłaszcza pretensjonalne przywłaszczanie sobie przymiotnika „naukowy" jest charakterystyczne młodym poglądom, które w ten sposób prawdopodobnie chcą pokryć swoje chwiejne kroki i tupetem zdobyć pewniejsze stanowisko.

Tymczasem psychologia eksperymentalna, chociaż przyznaje się jej charakter naukowy, nie jest wcale jeszcze pewną ani swej metody ani swych wyników. Nie ma miejsca tutaj na przeprowadzanie analizy i podanie wszystkich dowodów na potwierdzenie powyższego oświadczenia. Wystarczy może, gdy podam tytuł książki, która z całą szczerością stwierdza zmiany w poglądach i metodach przeprowadzanych badań w psychologii eksperymentalnej: **O. L. Zangwill „An Introduction to Modern Psychology", London, 1950.**

Z drugiej zaś strony należy stwierdzić, że psychologia scholastyczna, w zasadzie spekulatywna, która jednak wcale nie gardzi eksperymentem, obserwacją, ani statystyką, zawsze dotychczas uważaną była i jest za naukową.

Odbieranie psychologii filozoficznej przymiotnika „naukowy" jest zaprzeczeniem charakteru naukowego filozofii w ogóle. Czy więc p. B. A. Wysocki odważy się stwierdzić, że filozofia nie jest nauką? Warto by wobec tego dowiedzieć się od niego co jest nauką a co nie jest, oraz jaka dziedzina ma prawo zwać się naukową a jaka nie. A wówczas nie trudno by mi było udowodnić, że i psychologia scholastyczna, filozoficzna jest i pozostanie naukową.

3. Czwarty punkt listu p. Wysockiego wymaga również małego naświetlenia. Stwierdza on: „Początek psychologii eksperymentalnej powszechnie odnosi się do drugiej połowy XIX wieku (Wundta i Fechnera), a nie wieku XVIII."

Znowu kwestia czytania i rozumienia tekstu. Istotnie „powszechnie" uważa się, że G. T. Fechner (1801 — 1887), a zwłaszcza później W. Wundt (1832 — 1920), jest założycielem psychologii eksperymentalnej, gdyż on pierwszy założył laboratorium poświęcone studiom psychologicznym. Lecz mnie w artykule nie chodziło o założenie laboratorium, tylko o stwierdzenie faktu rozdziału między psychologią spekulatywną a psychologią eksperymentalną. Tego zaś dokonał Chrystian Wolf w XVIII wieku, wydając dwa dzieła: **„Psychologia empirica"** w r. 1732, i **„Psychologia rationalis"** w r. 1734.

Zatem rozdział między psychologią spekulatywną a eksperymentalną dokonany został w sto lat przed założeniem laboratoriów doświadczalnych, tzn. w XVIII wieku.

4. Wreszcie szósty punkt listu p. Wysockiego nasuwa tylko krótką myśl, że złośliwa uwaga może być dwusieczna i dotyczy nie tylko przeciwnika, ale także jej autora.

Łączę wyrazy szczerego poważania,

Ks. dr F. Brzózka

Cambridge,

Listem Ks. dra F. Brzozki zamykamy dyskusję na ten temat.

RED.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

UROCZYSTOŚCI NA CZEŚĆ ŚW. BERNARDYNA ZE SJENY I ŚW. LEONARDA

W dniach 19, 20 i 21 kwietnia odbyły się w Auli della Assunta, która stanowi obecnie część składową Uniwersytetu Franciszkańskiego (Ateneo Antoniano) w Rzymie, akademia na cześć św. Bernardyna ze Sjeny i św. Leonarda z Porto Maurizio. Obaj święci, z których pierwszy żył w pierwszej połowie XV wieku a drugi XVIII wieku, należeli do Zakonu św. Franciszka. Generalny kaznodzieja epoki humanizmu, św. Bernardyn ze Sjeny (Albizzeschii) w 6 lat po śmierci (1444) został kanonizowany (1450). Św. Leonard z Porto Maurizio (Casanova), któremu wypadło żyć w wolteriańskim wieku, zasłynął w całych Włoszech swymi kazaniami, zwalczając indyferentyzm i rozluźnienie obyczajów XVIII stulecia. Umarł w 1751 r., przygotowawszy rzymian z rozkazu Papieża Benedykta XIV do Roku Św. 1750.

Mówcami na akademiach byli: O. Gemelli, rektor uniwersytetu w Mediolanie, O. Dezza T. J., rektor Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, oraz włoski minister oświaty, prof. Gonella.

DYPLOMACJA PAPIESKA. W dniu 23 ub. m. odbyła się w wielkiej sali pałacu Cancelleria Apostolica uroczystość 250-lecia Papieskiej Akademii Kościelnej, o którym pisaliśmy w uprzednim numerze.

Nader ciekawe przemówienie okolicznościowe wygłosił substytut Sekretariatu Stanu, Monsignor Montini, dając jak gdyby wstęp do nowoczesnej historii dyplomacji, a w szczególności dyplomacji papieskiej. Msgr Montini widzi dwie główne tendencje rozwoju nowoczesnej dyplomacji. Pierwsza polega na zaznaczającym się coraz bardziej odchodzeniu od dawnych form. Formy te stają się coraz bardziej elastyczne i przestają często krępować treść, co wpływa dodatnio na możliwości osiągnięć. Druga — to coraz większe zrozumienie wspólnego interesu, który przyświeca stronom: zarówno Ambasadorowi akredytowanemu, jak również Rządowi przy którym Ambasador jest akredytowany. Ten wspólny interes, to łączenie wysiłków, obowiązuje przede wszystkim jako cel dyplomację papieską. Stawia ona sobie jako zadanie współdziałać w doprowadzeniu do pokoju i w utrzymaniu pokoju i porządku na świecie. Cel ten jest zresztą wspólny wszelkim dyplomacjom działającym bona fide. Dyplomacja papieska łączy zawsze swe wysiłki z Rządem państwa, w którym działa, dla wspólnego dobra zarówno Stolicy Apostolskiej jak i kraju, w którym dany Nuncjusz pracuje.

Zadania dyplomatów papieskich są liczne, bo obejmują także dobro dusz i dobro materialne wiernych kraju. Jednym z przykładów tej tezy niech będą słowa młodego dyplomaty papieskiego, który wrócił niedawno z jednego z krajów położonych za żelazną kurtyną, wygnany stamtąd wraz z całą misją papieską: „Bolejemy nad tym, że nie będziemy mogli już cierpieć razem z tymi, co pozostali".

PAX ROMANA PROTESTUJE. Międzynarodowy kongres studentów katolickich „Pax Romana", który obradował ostatnio w Limburgu w strefie amerykańskiej, uchwalił rezolucję, domagającą się międzynarodowej gwarancji minimum wolności obywatelskich. Rezolucja wysłana została do sekretariatu Narodów Zjednoczonych i do Rady Europejskiej.

W swym oświadczeniu „Pax Romana" stwierdza, że mimo olbrzymiego postępu technicznego wiele narodów znajduje się w stanie faktycznej niewoli, w której nie istnieje ani godność osoby ludzkiej ani żadne prawa osobiste. „Pax Romana" domaga się również międzynarodowych sankcyj przeciw gwałcicielom praw ludzkich.

NUNCJUSZ APOSTOLSKI NA FILIPINACH. Rząd filipiński nawiązał pełne stosunki dyplomatyczne z Watykanem. Nuncjuszem apostolskim w Manili został arcybiskup Egidio Vagnozzi, pierwszym ambasadorem filipińskim przy Watykanie mianowany został dr Manuel Moran, dawny sędzia sądu najwyższego, równocześnie ambasador w Hiszpanii.

APOSTAZJA W CZECHACH. Wobec oświadczenia czeskiego biskupa Józefa Carskiego, iż nie będzie on stosował kościelnych sankcji, nałożonych przez Watykan „ze względów politycznych", przedstawiciele Watykanu oświadczyli, że Watykan nie poweźmie na razie żadnych dalszych kroków aż do chwili wyjaśnienia, co biskup Carski rozumie przez „względy polityczne". Watykan zwraca równocześnie uwagę na ciężką sytuację Kościoła katolickiego w Czechosłowacji, która nie tylko się nie poprawia lecz wykazuje oznaki pogarszania się z dnia na dzień.

ŚWIĘTO 3-go MAJA W RZYMIE. W dniu 3-go maja, z okazji Święta Narodowego, w kościele św. Stanisława B.M. w Rzymie uroczyste nabożeństwo odprawił Opiekun Uchodźctwa Polskiego ks. biskup Józef Gawlina.

IGNACY BALIŃSKI

Z RAD DLA MOICH SYNÓW

I

Czy z ziarn twych czynów wzejdzie kłos,
Pytanie to daremne;
Tylko „dziś“ pewne daje los,
A „jutro“ dla nas ciemne,
Lecz, by mieć duch bez troski skaz,
Nie znać, co niepokoje,
Postępuj tak, byś w każdy czas
Mógł rzec: „Spełniłem swoje“.

II

Chcesz być czymś w życiu, to się ucz,
Abyś nie zginął w tłumie;
Nauka — do potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.
I zważ, nie popchną tego wstecz
Ani pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale.

III

Przebojem trzeba w życiu iść
Wśród przeciwności wielu;
Opada marnie chwiejny liść,
A strzała sięga celu,
Lecz wśród życiowych krocząc kniej,
W zdarzeniu, czy w potrzebie
Dla drugich zawsze serce miej,
Nie żałuj tylko siebie!

IV

Piękny jest świat, ten Boży twór...
Lazury fal przezrocze,
Srebrzyste grzbiety srebrnych gór,
Puszcz głębie, mórz roztocze.
Podziwiaj, gdy ci będzie dan
Ich widok, ciesz się niemi,
Ale najbardziej miłuj łan,
Łan swej ojczystej ziemi!

V

Szczęście — to nieuchwytny ptak,
Gdy je dla siebie łowią,
Złocisty często mija szlak,
Nad strzechą wzlata wdową.
Lecz choćby Los czy ból cię zmógł,
Czy pochód zła zwycięski,
Pomnij: Najwyższym sędzią Bóg
I gorszy grzech od klęski. —

IGNACY BALIŃSKI

JANINA TOKARSKA

IGNACY BALIŃSKI I „ŻYCIE“

„PRZED dziewięciu laty właśnie, dźwigając na barkach dwie siekierki (77) wieku, wyjechałem z Polski tak jak stałem, w jednym ubraniu i z grudką ziemi w woreczku. Ubranie zniszczyło się dawno i ziemia się rozsypała. Ale uchodząc spod bomb sowieckich, w pośpiechu, zamiast mej zwykłej laski, pochwyciłem ciężką laskę czeczotkową, którą nam kiedyś przyniósł z lasu jeden z gajowych. Na szczęście mam ją przy sobie i to jest jedyna więź materialna z czymś pochodzącym z Kraju.

Dlatego proszę moje dzieci, by ją włożyły do mojej trumny. Proszę także, aby przy obrazkach Matki Boskiej Ostrobramskiej i Częstochowskiej przypięły gdziekolwiek gwiazdę Komandorską Legii Honorowej, bo zasłużyłem się Francji, organizując uroczysty obchód setnej rocznicy śmierci Napoleona (5 maja 1921). Polskiego orderu nie otrzymałem żadnego, bo nic wybitnego poza spełnianiem obowiązków nie uczyniłem...“

...Nic wybitnego poza spełnianiem obowiązków nie uczyniłem...

Tych kilka słów śp. Ignacego Balińskiego napisanych przed 4 laty w artykule dla ŻYCIA charakteryzuje piękne i szlachetne człowieczeństwo jednego z wielkich Polaków. O zasługach Zmarłego dla Polski i jej kultury pisały niemal wszystkie pisma na emigracji. Mimo ogłoszonego na tych łamach artykułu prof. S. Strońskiego, niech mi wolno będzie wspomnieć w kilku słowach o sprawie może drobnej, „domowej“ — o stosunkach, jakie łączyły śp. Ignacego Balińskiego z ŻYCIEM.

Pierwszy numer ŻYCIA wyszedł z datą 18 maja 1947 roku. A już następnego dnia Ignacy Baliński pisał do redakcji:

„Przez syna mego Jana Balińskiego-Jundziłła dostałem 17 bm. numer Waszego tygodnika, którym się bardzo ucieszyłem. A że od dzieciństwa miałem gorące nabożeństwo do Św. Antoniego Padewskiego, byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby w tygodniu, w którym przypada Jego święto, mógł się ukazać w ŻYCIU wiersz mój Jego czci poświęcony. — Wiersz załączam.

A mam jeszcze jedno zapytanie: „...Wydałem tu pierwszy cykl moich wspomnień o dawnej Warszawie i mam jeszcze dużo materiału w pamięci. Chciałbym bardzo np. ogłosić wspomnienia o pobycie w Warszawie Msgra Achillesa Ratti'ego. Ja Go pierwszy na Boże Ciało 1918 r. spotkałem urzędowo u wejścia do katedry św. Jana i asystowałem przy Jego konsekracji na Biskupa. Zaszczycał mnie Swymi odwiedzinami, a w 1925, gdym Mu w Rzymie składał cześć od miasta Warszawy, zaszczycił mnie pół godzinną audiencją prywatną.“

Interesujące i piękne to wspomnienie było drukowane w ŻYCIU w 11 numerze 1947 r. Od tego czasu redakcja ŻYCIA zwracała się nieraz do I. Balińskiego po artykuły okolicznościowe. Nigdy nie odmawiał, pisał bardzo chętnie. Żywo też interesował się niektórymi artykułami ŻYCIA, polemizował w listach, żałując, że brak mu książek i materiałów, aby wystąpić z polemiką w druku. „Wszystko w Warszawie przepadło“ — pisał w jednym z listów. — „Bogu dziękuję, że mi w końcu 85 lat zostawił nieco sił, pamięci i wzroku.“ Gdy w 1948 r. ŻYCIE zamieściło fragmenty Claudel'a w tłumaczeniu Marii Winowskiej, I. Baliński pośpieszył z entuzjastycznym listem, gratulując znakomitego przekładu. Sam bowiem — jak informował — zabierał się nieraz do tych samych fragmentów, lecz porzucał tłumaczenie, nie mogąc się uporać z kongenialnym oddaniem po polsku piękna i głębokiej powagi frazy Claudelowskiej.

Z troską i smutkiem patrzał na przyszłość kultury polskiej na emigracji, trwogą napełniał go los emigracyjnych książek i pism. — „Ciężkie nas tu czekają warunki“ — pisał w jednym z listów do redakcji — „...Coraz mniej będziemy mogli kupować książek i pism. Zabraknie pieniędzy po prostu, a na książkach i pismach robi się najprzód „oszczędności“.

Nie można było bez wzruszenia patrzeć na Jego listy i rękopisy. „Pisałem po jednej stronie kartki dla łatwiejszego składania“ — tłumaczy się, wysyłając jeden z artykułów — „Proszę wybaczyć częste „żydy“ z powodu mego coraz gorszego wzroku“.

Istotnie, zdarzały się „żydy“... Ale w tych rękopisach były one uroczym dodatkiem, z rodzaju tych, którymi wzrusza pióro bliskie sercu. Bo też pióro to miało dar wywoływania przeszłości w atmosferze ojcowskiego odczucia przeżytych zdarzeń. Było w niej zadumane spojrzenie człowieka, który wiele widział, wiele rozumiał, wiele przebaczył. Było tchnienie tamtych lepszych czasów, zacniejszych czasów, był spokój, uciszenie po burzy i wyrozumiały uśmiech doświadczenia. W słowach poważnych lecz zarazem pełnych blasku jaśniało słońce pogodzenia się ze wszystkim, co idzie z ręki Boga. Słowa proste i dlatego tak bardzo ujmujące wysoką kulturą, tak jak i to pismo, nad którym trzeba się było pochylić z tym samym spojrzeniem, jakie chwytają stare, szacowne manuskrypty.

Ostatni raz widziałam Go już u schyłku Jego życia, w Londynie, przemawiającego publicznie.

Był to jakiś wieczór literacki. Pisarze mówili o swych rozterkach na emigracji, ktoś twierdził, że żadnej rozterki nie przeżywa, żadnej wątpliwości dla obranej drogi nie ma, wszystko jest oczywiste.

W dyskusji zabrał głos Ignacy Baliński. Mówiono tu wiele i bardzo pięknie — zaczął — o różnych ważnych sprawach, o bólach i środkach znalezienia wyjścia z czasów przełomu i rozterki. Ale wśród wielu słów, jakie zostały wypowiedziane, brak było jednego — a najważniejszego: Bóg...

Dyskrecja, subtelna, delikatna, rozświetliła blaskiem proste, cichym głosem wypowiadane codzienne prawdy. Codzienne, zwykłe a wieczyste. Mówione z pełni serca, które pragnie, aby inni nie tylko uwierzyli, ale w i e d z i e l i, wiedzieli na pewno, że tak jest, że do takiej jasności najoczywistszej dochodzi się po gruntownym poznaniu życia. I — po pięknym życiu.

Słuchając tych słów, mówionych z łagodnością najlepszego ojca i patrząc na drobną postać czcigodnego starca, promieniejącego wewnętrznym urokiem, uprzytomniłam sobie szczególnie żywo tragedię ludzi Jego pokolenia, którzy „w czasach przełomu i rozterki“ znaleźli się u schyłku swoich lat na emigracji.

Pokolenie „urodzone w niewoli, okute w powiciu“, które wreszcie doczekało się szczęścia „tylko jednej takiej wiosny w życiu“ — wolności. I — nie zdążyło się nią nacieszyć. A to przecież On, ten stojący przed nami starzec w „ów wtorek 12 listopada 1918 roku“ miał szczęście ogłosić na ratuszu warszawskim — pierwszy prezes rady miejskiej Warszawy — że „Polska odzyskała niepodległość, że jej stolica jest wolna od wszelkich okupantów ruskich, pruskich czy rakuskich — to był najradośniejszy dzień mego życia. Wspomnienie tego dnia, jak akord czarodziejskiej harfy Dawida, podtrzymuje w nieszczęściach, ożywia nadzieje...“ Tak zwierzał się w ŻYCIU.

„Wolność jest hasłem niewolników“ mówił Ernest Psichari. Tak jest: wolność bez poczucia odpowiedzialności j a k a i d l a k o g o, wolność „dla wolności“, wolność bezładna jest tylko hasłem niewolników. Prawdę mówił świątobliwy wnuk Renana. Ale Ignacy Baliński prawdą swego życia świadczył chrześcijańskim treściom wolności. I oto teraz mówi nam, że przełom i rozterka bez Boga, nie jest przełomem i rozterką, a wyjście z przełomu — bez Boga, który by nie szedł jak obłok przed Izraelitami, jest krążeniem w kółko.

O śmierci na obczyźnie mówił ze smutkiem ale i chrześcijańską rezygnacją. Pisał w ŻYCIU:

„Powszechnie oddawana cześć grobom i cmentarzom przez żyjących oraz dbałość o to, gdzie będą spoczywały ich pośmiertne zwłoki, łączona prawie z ogólnym pragnieniem, aby były składane w przygotowane z góry miejsca, są wzruszające. Za mego długiego żywota mało o tym myślałem. Uważałem za rzecz naturalną, że będę pochowany bądź w Warszawie przy żonie, bądź przy rodzicach w Reginowie nad Szczarą, gdzie się urodziłem. Teraz, na obczyźnie odczuwam smutek, iż moje doczesne szczątki spoczną daleko od ziemi rodzinnej, nawet bez żadnego z nią kontaktu materialnego, chociaż rozumiem doskonale, że dla duszy jest to całkowicie obojętne, że dla niej są warte tylko modlitwy. ...liściom polskim opadającym po całym świecie z drzew polskich i niepolskich powtarzam pytanie Bohdana Zaleskiego:

Mam ja ojczyznę u Ojca,
u Boga,
W nieskończoności czasu i
rozstrzeni...
Piastunko marnych, znikomych
cieni,
Czemuś mi, ziemska Polsko,
taka droga?...

Polska nie schodziła mu z pamięci. Przed czterema laty szedł jeszcze w procesji Bożego Ciała w obozie polskim w Gosfield. Celebrował kapłan angielski, w asyście dwu księży angielskich i dwu polskich. Wśród obcego krajobrazu Ignacy Baliński przeniósł „swoją duszę utęsknioną“ do Kraju: „Z niewymownym wzruszeniem słuchałem chóru naszego wojska, śpiewającego odwieczne pieśni: „Boże w dobroci nigdy nie przebrany“ i „U drzwi Twoich stoję Panie, czekam na Twe zmiłowanie“.

Czyżbym stał znowu przed Zamkiem w Warszawie, czy na placu katedralnym w Wilnie, czy na rynku przy kościele Dominikanów w Nowogródku?

— U drzwi Twoich stoi Polska, Panie, i czeka na Twe zmiłowanie...“ (ŻYCIE, nr 11, r. 1947).

Nie doczekał zmiłowania. Ale wierzył i ufał za nas.

Janina Tokarska

Z A P I S K I
LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

FESTIVAL W PEŁNYM TOKU

Znowu podziwiać wypada dyscyplinę narodową Brytyjczyków. Jeszcze parę tygodni temu prasa — zwłaszcza konserwatywna — pełna była krytyki i złośliwych uwag pod adresem Festivalu i jego organizatorów. Nie najmniejszą rolę odgrywała tu niechęć do rządu Partii Pracy, którego główny dziś po premierze Attlee przedstawiciel, min. Morrison jest właściwym twórcą Festivalu. Z chwilą jednak otwarcia Festivalu zamilkły głosy krytyki: cała prasa oddała się propagandzie na rzecz ściągnięcia na Festival możliwie największej liczby widzów i gości. Sposób, w jaki urządzono centrum Festivalu, tzw. „South Bank Exhibition“, koło Waterloo Bridge, spotyka się z ogólnymi, uzasadnionymi zresztą, pochwałami.

Wystawa ta, obrazująca dorobek narodu brytyjskiego w różnych dziedzinach, otwarta jest codziennie od 10.30 rano do 11.30 wieczorem, w niedzielę od 12.30 do 11. Cena biletu przed godz. 3 wynosi 5 sh., a we wtorki przed godz. 4 — 10 sh. Przez resztę dnia bilet kosztuje 4 sh. Dzieci w wieku lat 5 — 15 płacą połowę ceny (dzieci poniżej lat 5 nie są dopuszczane). Bilety zamawiać można w biurze przy Whitehall Place S.W.1 (koło Trafalgar Square) i u agentów teatralnych.

Duże zainteresowanie budzi wystawa 500 lat książki brytyjskiej, odbywająca się w Victoria and Albert Museum. Otwarta w dni powszednie od 10 — 6, w niedziele od 2.30 — 6. Wstęp 1 sh. W tymże muzeum odbywa się kilka innych wystaw, m. in. wystawa fotografii okresu wiktoriańskiego.

Wystawa w sąsiednim Science Museum otwarta jest codziennie od 10 do 10, w niedziele od 2 do 10. Wstęp 2 sh., we wtorki 4 sh. Dzieci płacą połowę.

Wystawa wystaw z okresu 1760 — 1951 („Exhibition of Exhibitions“) odbywa się w Royal Society of Arts, John Adam Street, W.C. 2. Otwarta codziennie (z wyjątkiem niedziel) od 10 — 6, we środy od 10 — 8. Wstęp 1 sh.

Wystawa architektury w Poplar, Lansbury, otwarta jest codziennie od 10.30 do 8, w niedziele od 12.30 do 8. Wstęp 1 sh 6 d., dla dzieci 9 d.

Jedyną związaną z Festivalem wystawą o charakterze międzynarodowym jest międzynarodowa wystawa rzeźby pod gołym niebem w Battersea Park. Otwarta codziennie od 10 do zmierzchu. Wstęp 1 sh., dla dzieci 6 d. Za to „wesołe miasteczko“ (Fun Fair), które będzie uruchomione w tymże parku, do tej pory jeszcze gotowe nie jest. Dało to pole min. Morrisonowi do pół-żartobliwej uwagi, że prywatna inicjatywa, która buduje to miasteczko, wykazała swą niższość w porównaniu z inicjatywą państwową.

Dodać warto, że w tych dniach otwarta została letnia wystawa obrazów w Royal Academy (przy Piccadilly).

RATOWANIE ZABYTKOWYCH DWORÓW i PAŁACÓW

W r. ub. streściliśmy w ŻYCIU zalecenia specjalnej komisji rządowej pod kierownictwem Sir Ernesta Gowera, której zadaniem było obmyślenie środków uratowania zabytkowych dworów i pałaców wiejskich w Wielkiej Brytanii, zagrożonych ruiną. Stanowisko rządu w tej sprawie przedstawione zostało obecnie w Izbie Lordów przez lorda Pakenhama.

Podkreślił on, że rząd przyjmuje większość zaleceń komisji Gowera i poczuwa się do odpowiedzialności za zachowanie tej części „naszego narodowego dziedzictwa“, jaką stanowią zabytkowe rezydencje wiejskie. Rząd uznaje — gdzie to możliwe — zasadę pozostawienia tych rezydencyj w rękach rodzin, do których one należały od szeregu pokoleń. Natomiast przeciwny jest proponowanym przez komisję Gowera zwolnieniom i ulgom podatkowym dla właścicieli tych budynków, byłoby to bowiem sprzeczne z ogólnymi zasadami opodatkowania.

Rząd wypowiada się w to miejsce za udzielaniem właścicielom pożyczek lub subsydiów na konserwację rezydencyj wiejskich. Związane by to było z pewnymi warunkami, przede wszystkim więc właściciele byliby zobowiązani do utrzymywania budynków w należytym stanie i do udostępnienia ich publiczności, pragnącej zwiedzać te zabytki.

Cała akcja przeprowadzona by była w ścisłej współpracy z władzami lokalnymi i z tzw. fundacjami narodowymi (national trusts), które wiele już zdziałały w zakresie ratowania zabytków historycznych w W. Brytanii. Lord Pakenham zaznaczył, że w chwili obecnej z powodu ciężkiej sytuacji finansowej i wydatków na zbrojenia tylko nieduże sumy będą mogły być przeznaczone na konserwację rezydencyj wiejskich.

ŻYWY DZIENNIK STUDENTÓW

W niedzielę, dnia 15 ub. m. sala Klubu Studentów w „Ognisku Polskim“ zapełniła się młodzieżą. W dniu tym bowiem redaktor i współpracownicy „Życia Akademickiego“ zorganizowali „żywy dziennik“, na który złożyły się, między innymi, artykuły przeznaczone do następnego numeru czasopisma studentów.

Poszczególne „artykuły“ wiązał w całość p. Niemczyk (redaktor „Życia Akademickiego“), opisując przy tym pracę dziennikarską na wszystkich szczeblach tego zawodu.

W pierwszej części wieczoru M. Dubanowiczówna przeczytała swój artykuł „O szczęściu“, zgrabnie napisany, ale niecałkiem słuszny. Twierdzenie, że komunizm to „łatwość życia“, przyrównywanie go do „narkotyku i kolorowych szkiełek“, to chyba trochę zbyt prostolinijne ujęcie.

Następnie p. A. Wnęk, autor stałej kolumny pt. „Przechadzki po Londynie“ dał satyryczne „Sprawozdanie z Domu Młodzieży“. Trzeba przyznać, że felieton ten napisany został z pazurkiem, którego niejeden z emigracyjnych „satyryków“ mógłby mu pozazdrościć.

Z kolei wiersze swe przeczytali: J. Żywina i F. Śmieja. J. Żywina recytował trzy utwory, połączone — z uwagi na tematykę — w całość zatytułowaną „Tryptyk poetycki“ (w wierszu „Żona“ jakby zadźwięczał na chwilę Gałczyński, a F. Śmieja wystąpił z czterami krótkimi utworami.

Nadzwyczaj interesujący, choć nieco za długi, był reportaż przeprowadzony z p. Angererem, prezesem Zrzeszenia Studentów. P. Angerer wrócił niedawno z Paryża, który odwiedził celem zapoznania się z problemami tamtejszych studentów-Polaków. Z reportażu dowiedzieliśmy się, w jak ciężkich warunkach pracują polscy studenci we Francji. Wielu z nich, a szczególnie ci z Akademii Sztuk Pięknych i z wydziału muzyki, nie ma stypendiów, skutkiem czego musi pracować zarobkowo po nocach. Ale nawet położenie stypendystów jest niełatwe: otrzymują oni oficjalną równowartość £ 10, które w rzeczywistości mają siłę nabywczą zaledwie £ 6. Toteż Zrzeszenie bardzo liczy na pomoc wszystkich Polaków w akcji pomocy na rzecz studentów na Kontynencie.

P. Angerer wspomniał, że w Paryżu odbywają się co drugą niedzielę „herbatki studenckie“, na których pp. Oleńska i Ref-Ren bawią gości, nie pobierając za to żadnego wynagrodzenia.

W następnym punkcie programu znany Czytelnikom „Życia Akademickiego“ Stalowy Student ze swadą wygłosił zabawny felieton.

„Żywy dziennik“ zakończono cytatami z prasy krajowej, ilustrującymi nacisk, jaki komuniści wywierają na młodzież. Artykuł ten zatytułowano „Między wierszami prasy krajowej“.

Impreza studentów udała się pod każdym względem. Autorzy artykułów natychmiast nawiązywali kontakt z słuchaczami, którzy żywo reagowali zarówno na humor felietonów jak i na subtelność wierszy. Jako motyw przewodni wieczoru przewijało się niezrozumienie starszego pokolenia dla problemów młodych. To niezrozumienie, prawie obojętność, młodzi odczuwają bardziej, niż to niejednemu się zdaje.

W drugiej, towarzyskiej części programu przeprowadzono wybór „królowej Klubu Akademickiego“. Licznym a ładnym kandydatkom zadawano pytania, punktując otrzymywane odpowiedzi. Zwyciężyła na punkty panna Lala Bielecka.

(g)

V A R I A

William Faulkner. Ten najsławniejszy w chwili obecnej powieściopisarz amerykański, po otrzymaniu nagrody Nobla odbywa podróż po Anglii i Francji. Ostatnio zwiedził pole bitwy pod Verdun, gdzie w latach 1914 — 18 znajdował się w szeregach żołnierzy amerykańskich.

Uścisk dłoni w rękawiczkach. Ekspert w sprawie dobrego wychowania, więcej: elegancji, książe Levis Mirepoix, wyjaśnił, że rękawiczki służą do chronienia ręki od chłodu i nie mają znaczenia w codziennym ceremoniale podawania ręki Przy tej sposobności książe Mirepoix pochwala zwyczaj angielski witania się i żegnania bez podawania ręki. Uprzejmość, według ks. Mirepoix, polega przede wszystkim na nierobieniu bliźnim kłopotu.

Dozorca. Według starego dozorcy w magazynie Louvre'u, poziom dobrego wychowania bardzo się obniżył po drugiej wojnie światowej. Na sto osób, zapytujących go o wskazówki, najwyżej sześć raczy powiedzieć „Dziękuję“. Przy czym kobiety są jeszcze mniej grzeczne niż mężczyźni. Dozorca, dla usprawiedliwienia tego stanu rzeczy, dorzuca pobłażliwie: „No, ale większa część odwiedzających magazyny Louvre'u, to przybysze z prowincji!“ Ale prowincja francuska też jest Francją! Smutne, że w kraju przysłowiowej wytworności coraz rzadsza jest kurtuazja!

Rosenbergowie. Juliusz i Ethel, małżonkowie Rosenberg, para szpiegów, którzy dostarczali Moskwie tajemnice, dotyczące budowy bomby atomowej, zostali przez amerykański sąd w Nowym Jorku skazani na śmierć. Usłyszawszy wyrok, uśmiechnęli się do siebie.

Zastrzyk uczucia macierzyństwa. W wiedeńskim zoo hipopotamica Bella spodziewa się drugiego potomka. Zastrzyknięto jej hormony, potęgujące miłość do dzieci, jak utrzymują specjaliści. Bo hipopotamica zjadła swe pierwsze niemowlę.

Portrety Papieży. 263 portrety papieży od początku XVI w. do dnia dzisiejszego ukazuje wystawa otwarta na zakończenie Roku Świętego w Rzymie. Zgromadzono tu płótna, sztychy i rzeźby, i nawet mozaiki. Oprócz potretów są i fotografie mauzoleów i grobów papieskich.

Pamiętnik księdza. Mają się ukazać pamiętniki ks. Mugnier, który znał wiele znakomitych i wpływowych osobistości swego czasu. Między innymi przyjaźnił się z głośną powieściopisarką, księżną Bibesco. W swoich wspomnieniach księżna Bibesco notuje kilka powiedzeń ks. Mugniera. Pewnego razu rzekł:

— Powinniśmy wszystko przebaczyć naszym wrogom... i jeszcze więcej naszym przyjaciołom.

Hitler żyje. Tego zdania są niektóre koła francuskiej prasy. „Noir et Blanc“ przeprowadza wywiad z kapitanami tych łodzi podwodnych, które w wiele tygodni po zakończeniu działań wojennych wyłoniły się z głębin oceanicznych u brzegów Ameryki Południowej. Interwiowani, oczywiście przeczą, jakoby mieli kiedykolwiek na swoich statkach pięknego Adolfa, Ewę Braun, lub którego z wybitnych działaczy nizistowskich. Mimo to są w ich odpowiedziach niejasności, jeden z nich np. nie umie wytłumaczyć, dlaczego wiózł trzy razy większy personel marynarski, niż był powinien, inny nie umie wyjaśnić ogromnej ilości papierosów w łodzi. Rodzą się podejrzenia, że np. jeden z kapitanów w ogóle nie jest kapitanem. Zdumiewa jego młody wiek. Jest to chłopiec dwudziestoletni! Gdyby Hitler istotnie zdołał ujść z rozwalonego Berlina (co jest niewiarygodne), miałby dziś 64 lat. Jak na działacza politycznego nie jest to wcale wiele. Pasja polityczna jest eliksirem młodości. Stalin ma siedemdziesiątkę i rusza się wcale żwawo! A propos wieku Stalina! Chiromantka gruzińska, Fatima, podobno przepowiedziała Kobie Dżugaszwili w Tyflisie, gdy był studentem seminarium duchownego, że popełni wiele zbrodni, będzie rządził ogromną częścią świata i umrze w 75 roku życia na jesieni.

PAMIĘTAJ
o KATOLICKICH
NAGRODACH
LITERACKICH

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 20 maja 1951.

NAD BOSFOREM I NAD TAMIZĄ

Od czasu do czasu podnosi się na naszej emigracji wrzawa, najczęściej bardzo słuszna, o książkę. Ostatnio była na rozkładzie sprawa przemiału pewnej ilości polskich książek. Wymieniono przy tej okazji wiele słusznych argumentów ogólnych. Sądzę, że nierównie wdzięczniejszym tematem byłaby sprawa tzw. „broszurek", różnego propagandowego śmiecia, które przez 10 lat zawzięcie wydawano, a które zalega różne magazyny i nigdy już na nic się nie przyda, chyba, że zostanie przemielone na papier, z którego można by ukręcić jedną czy drugą prawdziwą polską książkę. Mniejsza zresztą z tym. Nie rozdrapujmy starych błędów. skoro jest tyle nowych.

W tej chwili nie chodzi mi o książki, które zostały zmielone, ani o te, które mogłyby powstać, gdyby nie wydawano poprzednio zbędnych broszurek propagandowych, ale o te, które są. Z pobieżnego obliczenia wynika, że w magazynach emigracji znajduje się około miliona egzemplarzy książek. A rzecz w tym, iż wśród nich znaczny procent stanowią książki pełnowartościowe.

Gdy mi któryś z mijających dni dobrze dogryzie, a trudności życia emigracyjnego zbyt doskoczą do gardła, wkradam się do naszej księgarni, która jest nad wieczorem pustawa, i myszkuje po półkach. Z tego przeglądu zawsze nazbiera się kilka książek. Biorę je do domu, zamykam drzwi, telefon zawijam w koc i do następnego ranka, albo, gdy to jest sobota, do najbliższego poniedziałku zostaję sam. Sam z książką.

W ostatniej paczce znalazła się nienajgorzej nawet wydana, ale na prawdę doskonale napisana książka Marii Czapskiej o Ludwice Śniadeckiej. Przedrukowano tę książkę gdzieś po drodze naszego tułaczego szlaku, trochę rozsprzedano, pewną część rozdano, resztę zwieziono do Anglii i oddano na skład. Gdzieś sobie biedaczka leży, równomiernie wchłaniając brytyjską wilgoć. Mimo, iż się tym interesowałem, dotąd nie udało się wykryć, gdzie zapadła w półsen oczekiwania na czytelnika. Kilkanaście egzemplarzy znajduje się w „Veritasie", gdzie reszta— nie wiadomo. Normalny tom, wydrukowany poprawnie, niezłe ilustracje, a tekst istotnie wyborowy.

Już same koleje losu nieszczęsnej romantycznej heroiny są dostatecznie interesujące, aby wzbudzić zainteresowanie czytelnika. Ale nie to w tej książce jest najważniejsze. Nawet nie pierwsza jej część, opisująca stosunki w Wilnie i na Wileńszczyźnie w początkach ubiegłego stulecia, za czasów utrwalania się okupacji rosyjskiej. Choć i ta część otwiera nagłe i głębokie perspektywy. Gdy się książkę czyta w spokoju, i wytrząsnąwszy uprzednio drobnicę codzienną z głowy, może to tło historyczne Wileńszczyzny sprzed stu pięćdziesięciu lat przynieść analogie wcale pokrzepiające.

Rzecz prosta, okupacja rosyjska z owych czasów, nie jest w intensywności okupacją dzisiejszą, terror ówczesny nie jest doskonałością terroru współczesnych „obrońców pokoju", ale — choć nie w tej skali i nie tej intensywności — problematyka była ta sama. Pod wpływem wschodnich przybyszów naprzód lekceważenie przechodzące zwolna w irytację i próby powierzchownego bojkotu; później ułożenie się stosunków i poddawanie najeźdźcy — Ludwika Śniadecka, zadurza się śmiertelnie w oficerze rosyjskim, za którym idzie i podziela jego poglądy. Ale po tych początkowych oszołomieniach i zawrotach równowagi, z lekkomyślnego społeczeństwa, spod pokostu powierzchownej rusyfikacji wydobywa się myśl psychicznego oporu, który coraz zawzięciej rósł, coraz głębiej się krył i coraz mocniej trwał. Trwał sto kilkadziesiąt lat! A gdy już się nie musiał kryć i nie musiał tylko trwać, ale mógł zmienić się w kwitnienie — zakwitł najpiękniejszą polskością.

Proszę bardzo gorąco, aby po tych słowach, nie zasypano mnie dysertacjami i przekonywaniem na temat „różnic", „skali", „preparowania duszy narodu" przez Sowiety w obecnej Polsce. I ja próbuję wiedzieć, ile można, na temat rozmiarów wiwisekcji, jaką przeprowadzają w Polsce agenci komunistyczni; nie chcę się również łatwo łudzić i pocieszać analogiami. Chcę sobie tylko to Wilno z lat dziesiątych ubiegłego stulecia i z lat dwudziestych naszego przypomnieć i utrwalić w pamięci. Cech nabytych ciężką ceną czasu i wytrwania naród nie tak łatwo się wyzbywa. A nie tylko metody okupacji się rozwinęły, ludzie w tym czasie też dorastali do sprostania twardej rzeczywistości naszego wieku.

Ale na prawdę pasjonująca jest dopiero część druga książki. Śniadecka, po różnych kolejach losu, przybija do Stambułu i tu, jako towarzyszka Michała Czajkowskiego, Sadyka Paszy, sturczonego patrioty polskiego, spędzi kilkadziesiąt lat swego życia. Autorka monografii kreśli bardzo plastycznie, choć dyskretnie i powściągliwie, tło działalności tych dwojga, Sadyka i Śniadeckiej: emigrację polską nad Bosforem. Zwabieni narastającym konfliktem turecko-rosyjskim zbiegli się do Stambułu emigranci polscy we wcale pokaźnej liczbie.

Działo się to równo sto la temu, garstka tułaczego społeczeństwa była o wiele mniejsza, niż dziś, lecz jakżeż te same sprawy. I spory i nostalgia, i przerzucanie się z rozpaczy w egzaltowaną nadzieję, i to — najdotkliwiej wzruszające — czyhanie na każdy skrawek okazji, na byle szczęk karabinu rozchodzący się po świecie. Amatorstwo bijatyki? Zakochanie się w śmierci? I w czerwonych wyłogach? Nie brnijmy w rozpaczy głupich samooskarżeń — nie, nie po to! Po to, aby mieć wolność i własny kraj.

Może tak ta książka jest napisana, a może tak w dniu jej czytania byłem usposobiony, że mi dała rozległy materiał porównawczy. Gdy z niskości mojego uchodźczego, wilgotnego basementu przez książkę o połowie zeszłego wieku spojrzałem na lata naszej niedawnej niepodległości, wiele rzeczy lepiej zrozumałem, choć przecież „dwudziestolecie" to mój czas, sam go przeżyłem. To owo czyhanie na wolność przez sto lat tłumaczy w tym dwudziestoleciu prawie wszystko, i dobre i złe. Wyjaskrawienie życia politycznego, emocjonalność młodzieży, programy partyj politycznych i niewątpliwy renesans religijny zaczynający się w tym pokoleniu — wyprowadza się z owego stulecia polskiej wędrówki.

Wiele rzeczy, które działy się w Polsce dwudziestolecia, działy się dlatego, ponieważ ci, którzy je robili robili poto, aby już nigdy nie trzeba było c z y h a ć na wolność, ale, żeby można było ż y ć wolnością. Nie rzecz w tym teraz, aby się zastanawiać, czy robota była równa celowi. Raczej nie była, na pewno nie była. Ale to inna sprawa.

Ten Bosfor Sadyka nasuwa jeszcze i inną refleksję. Czekanie na szczęk broni? Można zrozumieć taką politykę, lecz czy się można na nią zdać? Na długą metę na pewno nie. Po czekaniu przez sto lat, w zawierusze światowej można uzyskać oddech na dwudziestolecie, aby później znowu czekać. Czy znowu przez sto lat? Nie, to jest na pewno zła, a w każdym razie niewystarczająca polityka. Bosfor lat pięćdziesiątych mógłby nam, wygnańcom lat również pięćdziesiątych, tylko innego stulecia, dać niejedną lekcję rozumu politycznego.

Tu musi chodzić już o coś innego. Wolność narodu, który chce być wolny, nie jest wystawą luksusowej restauracji, przed która oberwaniec z pustym żołądkiem rozpłaszcza nos o szybę, czekając na ochłap. Według pojęć naszej cywilizacji, która się mieni cywilizacją chrześcijańską, wszyscy ludzie są w równym stopniu dziećmi Bożymi. Nie ma tedy również w dziedzinie przyrodzonej dostatecznych powodów na to, aby świat się dzielił na z góry uprzywilejowanych i z góry pokrzywdzonych. Prawo do wolności, do normalnego rozwoju, do własnego języka i do własnego obyczaju, prawo do niezagrożenia przez najazd co drugie pokolenie — musi być włączone do tego systemu międzynarodowego, który narodzi się z tej zawieruchy. Jeśli ta sprawa nie będzie uporządkowana, sprawa ładu w moralności nie tylko jednostkowej ale również zbiorowej, to będzie znaczyć, że ludzkość koniecznie chce skończyć samobójstwem.

Tyle się mówi o tym, co powinna robić polska polityka, aby najlepiej służyć sprawie swej Ojczyzny. Powinna wiele rozmaitych rzeczy robić, ale przede wszystkim krzyczeć o n o w y ł a d m i ę d z y n a r o d o w y, w k t ó r y m b y ś r e d n i e i m a ł e n a r o d y b y ł y t r a k t o w a n e p o l u d z k u.

Z nad Bosforu wracamy nad Tamizę. Po drodze gubimy sto lat. Na niedalekim kanale buczą barki wiozące rudę do stalowni. Przewracam ostatnią kartkę. Jest późna noc. Jutro jest znowu dzień. I to wcale nie taki znieruchomiały pleśnią „niczego - nie - dziania-się", jak sobie dogadujemy. Przeciwnie. Czas pędzi i aż zatacza się na zakrętach.

Józef Kisielewski

PO ŁEPKACH

»CHORUJEMY NA TĘ WARSZAWĘ«

„CHORUJEMY na tę Warszawę, drogi panie" — przemawia czarny charakter, Emil w „Mieście niepokonanym" Kazimierza Brandysa na stronie 104*). Ale Kazimierz Brandys, który jest jasnym charakterem własnej opowieści, nie choruje. Warszawa to dla niego alfa i omega całego życia, sól ziemi, trójkolorowy sztandar myśli, czynu i uczucia. Opuszczając Warszawę, takie miastu pisze Brandys epitaphium: „Niedługo zostanie za nami ów niewielki kraj, najbardziej ojczysty pod niebem, które tylko nad nim miało ojczysty kształt. T e n k r a j i n i e b o r a z e m n a z y w a ł y s i ę W a r s z a w ą. Nieraz będziemy tęsknić nocami za nazwą, za niebem, za krajem..." Zatem nie Polska, ale Warszawa. Coś jakby wolne miasto — republika czy księstwo warszawskie. Cała ojczyzna w granicach miasta.

Opowieść o „Mieście niepokonanym" doczekała się słusznego przyjęcia w Kraju i poza Krajem. W szczególności poza Warszawą. Jest to jedna z najlepszych książek polskiej literatury powojennej. Mimo lirycznego poszycia, strzela w górę prostymi masztami tragizmu, komizmu i eposu. Pisana jest własnym, pięknym stylem, o wielkiej sile plastyki scen, językiem dosyć oszczędnym, zwłaszcza w dialogach, zabarwionych stołeczną, niefałszywą gwarą. Literacko — przednia robota.

Niemniej ideowo chybiona. Mądrości ex post, zagadnienia postawione i rozwiązane inteligencją czasu, lecz wtłoczone w problematykę opowieści jako jej organiczne tło, deklaracje i deklamacje na użytek bieżący (rok wydania 1949), z wypiekami gorliwości ideologicznej i rumieńcami usprawiedliwiania się. Zamiast prawd — sceptycyzm, zamiast ciężaru myśli — bańki mydlane sofizmatów. Na wyzwolenie od strachu czeka „Miasto niepokonane" od Wschodu. Wiara w Boga jest wynikiem strachu, wiara w nieomylność nowego porządku politycznego — to już inna para gołąbków. Opowieść nie jest poza tym wolna miejscami od papki lirycznej, sentymentalnego rozgadania, zwłaszcza w rozdziałach pisanych bez przekonania (walka ghetta, powstanie).

Miłość do Warszawy i duma stołeczna pozostały jako jedno ze szczątkowych uczuć polskich — nowym włodarzom. Jedynym miastem, które się na prawdę w Polsce odbudowuje jest tylko Warszawa. Zwłaszcza, że odbudowa stolicy jest zarazem werblem komunistycznym i najbarwniejszym afiszem partyjnym. Poznań odbudował się sam sumptem swoich mieszczan, a o Gdańsku, Olsztynie, Wrocławiu, Opolu i Szczecinie lepiej nie mówić. Są to nadal rezerwaty ruin.

Prasa krajowa z dumą donosi, że dla odbudowy stolicy zwozi się cegły z ruin wszystkich miast. Słabość do Warszawy pozwala jeszcze dziś wiele wybaczyć i na wiele przymknąć oczy. Najgorsze poróbstwo literackie, jeśli tylko ma w tytule Warszawę, doczeka się druku (czytaj np. St. R. Dobrowolskiego „Notatnik warszawski").

Nie jest to jednak słabość nowa. Nieobca doskonale przedwojennej Polsce, w czasie wojny urosła do rozmiarów, które nieco za mało miejsca pozostawiają innym ptakom w lechickim gnieździe. Rzecz nie w tym, żeby miłość do stolicy była niesłuszna. Czy aby jednak miłość ta nie stała się u wielu Polaków zbyt zasklepiona? Czy przenosząc sprawę na teren rodzinny, można przypuścić, aby rodzice tak bardzo kochali jedno dziecko, aby zapominali o innych, aby je tak wyróżniali, że reszta rodzeństwa musiałaby się czuć jak ubodzy krewni, aby wreszcie wylewali całą swoją miłość na to jedno dziecko, uważając je za swoje jedyne?

Wnosząc z literatury, Warszawa przesłoniła wielu Polakom Polskę. Stała się jakby czymś tożsamym, względnie równorzędnym z pojęciem Polski. Dla Kazimierza Brandysa Warszawa jest ojczyzną. W dodatku ojczyzną bez skaz. Cokolwiek by czyniła Warszawa, wszystko zawsze znajduje wytłumaczenie na jej korzyść. Beztroska, lekkomyślność, grzeszki powszednie i grzechy niepowszednie byłyby w każdym innym mieście napiętnowane, w Warszawie uchodziły za wdzięk i za styl. Gdyby dajmy na to Kazimierz Brandys w czasie wojny spotkał w Krakowie całe łańcuchy łapowników, dziewczęta sprzedające się Niemcom albo choćby nawet tańczące w Lasku Wolskim pary, zakląłby pewnie z obrzydzenia. Ale na ulicach warszawskich i na Bielanach ludzie tacy i sceny takie uważał nieomal za szyfr konspiracji. Odwrotnie także jakieś komplety szkolne, pisemka lub wykłady nigdzie nie posiadały takiej aureoli, jak w okupowanej stolicy.

Poza wielkimi godzinami historii Warszawa — jak wynika z opowieści Brandysa — żyła raczej beztrosko i motylkowato, choć bardzo przy tym patriotycznie. Stanowczo nie można się domyśleć, z czego żyli i czym się trudnili bohaterzy „Miasta niepokonanego". Tak np. lokatorzy kamienicy Brandysa dzielili się na bezrobotne wdowy oraz na mędrkujących, trochę konspirujących młodzieńców. Bohaterzy Brandysa pędzą życie w ciągu dnia w kawiarniach, a w ciągu nocy przy kartach i libacjach. Odnosi się wrażenie, że wszyscy ci ludzie czuli się tak doskonałymi, iż ich patriotyczna doskonałość zwalniała ich z codziennych trudów i ciężkiej pracy.

Wszystkie ich czyny i uczucia — jak z tekstu opowieści wynika — były specyficznie warszawskie, a więc chyba „reszcie" Polski nieznane: „Cóż nas podniosło z upadku?... Czy dar zapominania albo instynkt naszej młodości? Była jakaś ogromna, niewidzialna siła w tym mieście, która kazała nam z nim razem prostować się po ciosach i na nowo rozpoczynać istnienie po klęsce." Czyżby rzeczywiście po tę cnotę trzeba koniecznie wyjeżdżać aż do „tego miasta"? Czy gdzie indziej Polacy nie prostowali się?

„Warszawa umiała swój los określać doraźnie zwięzłym słowem, w którym mieściła się zgroza, pogarda i żart." Czyżby poza Warszawą Polacy byli gęśmi?

Warszawa, wedle Brandysa, posiadała tyle cnót i wdzięków, że aż to wszystko stało się nielogiczną mieszaniną. Na stronie 92 „Miasta niepokonanego" czytamy np.: „Warszawa tęskniła za walką pierś w pierś, w której zginąć byłoby pięknie i lekko". Na str. 168: „Szorstkie serce Warszawy przywykło do widoku śmierci". Ale za to na str. 121: „Dusza Warszawy była kobieca — bezbronna, czuła i lekka", a na str. 118 nawet: „Ogół naszego miasta niechętnie ginąłby na stosie, a jego bohaterstwo wynikało raczej z odruchu, z gestu, niż z żaru idei." Tak więc 16 stron książki dzieli tęsknotę za walką od niechęci ginięcia na stosie. Albo, albo. „Podziwiałem miasto, które za cenę ścisłości paru wąskich prawd nie uchylało się od grozy śmierci" (Str. 140). „Czułem w ich duszach ową lekkość miasta, w którym przyszli na świat; lekkość chroniącą przed zbytnią powagą..." (Str. 148). Do koloru, do wyboru.

W książce Brandysa nie ma żadnej wzmianki o jakimkolwiek innym polskim mieście. Autor bardzo starannie unika nawet suchych nazw tragicznych miast Rzeczypospolitej, kiedy opowiada o walkach zbliżających się ze Wschodu. Obcy czytelnik mógłby przypuszczać, że Warszawa, to jakieś pograniczne miasto. Wojna toczy się w Rosji, na stepie i nagle wtacza się w bramy Warszawy. Zginęła gdzieś po drodze Polska. W opowieści wspomina się tylko kilkakrotnie o Grójeckim, przyczem Grójeckie ma przywoływać obraz ciemnej polskiej parafiańszczyzny. Bosi chłopi, pędzący kozy na sznurkach — oto obraz Polski poza Warszawą.

Warszawa, Warszawa, Warszawa. „Poznałem jasne włosy wymykające się spod furażerki zsuniętej ślicznie, po warszawsku..... Furażerka nie spadła jej z głowy, przyczepiona pewnie szpilką do włosów, po warszawsku." Ale przechwałki o beretach, pantofelkach i chlebku warszawskim są niewinne i być może, że nawet słuszne. Miłość wiele tłumaczy. Miłość do stolicy może tylko wzruszyć każdego Polaka.

Niestety miłości Polski nie da się zamknąć w rogatkach stolicy. Z jej tylko walk czynić historii narodu, z jej losu losu Kraju, z jej charakteru i stylu życia praw obowiązujących wszystkich Polaków! Podobnie błędem byłoby w życiu, trudach i walkach Polski nie doceniać udziału Warszawy.

Bo jednak bohaterstwo stolicy i jej walki przesłoniły nam równie piękne i równie bohaterskie czyny innych miast Polski i innych jej dzielnic. Rzecz oczywista, że nie tylko czyny zbrojne decydują o wartości narodu, ale nawet wobec najwznioślejszych wydarzeń dziejowych trzeba zachować trzeźwy sąd. Nie ulega wątpliwości, że we wrześniu 1939 improwizowana przez cofające się oddziały obrona Warszawy nie posiadała żadnego strategicznego znaczenia. Inne były walki, którymi żołnierz polski wypisał mocniej wolę życia swej ojczyzny. Powstanie warszawskie było bez wątpienia najbardziej tragiczną i najbardziej krwawą bitwą polską w drugiej wojnie światowej. Nie była to walka daremna choć z miasta nie pozostał kamień na kamieniu. Była to bowiem w najgłębszej istocie zjawiska walka o wolność, o wolę życia niepodległego i godność narodu. Żołnierze broniący Warszawy wypisali światu polski traktat pokoju, a łuny stolicy będą świecić wszystkim pokoleniom, jak długo istnieć będzie Polska.

Były jednak i poza Warszawą walki o wyzwolenie. Podobnie jak obrona Warszawy w r. 1939, tak i powstanie 1944 były w pewnej mierze przypadkiem. Plan wojskowy przewidywał powstanie ogólne Kraju — „Burzę": „Opanowanie jak największego obszaru Rzeczypospolitej jako podstawy do przywrócenia na ziemiach polskich suwerenności państwa polskiego i odtworzenia sił zbrojnych w Kraju." We Lwowie, w Wilnie, na Wołyniu, w Lublinie, w Białymstoku, w Radomiu, Rzeszowie, w Krakowskim stoczono wspaniałe i zwycięskie bitwy wojsk polskich z Niemcami. Gdzie są dziś piewcy walk lwowskich, wileńskich czy rzeszowskich? Czyżby naród miał o nich zapomnieć a jego dzieje miały się zamknąć wrotami dwu wrześniów warszawskich?

Warszawa miała swoje męstwo, swój upór, swoją walkę podziemną, swoje tragedie i śmierci, łapanki, zakładników, więzienia, swój humor, swe pisma podziemne, swoje sabotaże i karzące ramiona, ale wszystko to miały i inne miasta Rzeczypospolitej. Czy w mniejszym stopniu? Chyba nie. Kto jest innego zdania, niech zajrzy do opracowania dziejów Armii Krajowej w wydawnictwie Komisji Historycznej w Londynie. Przekona się, iż sprawy i walki Warszawy były tylko częścią spraw i walk Polski. Nie będziemy ich rzucać na wagę, gdyż miłość i ofiara, jeśli są prawdziwe, mierzyć i ważyć się nie dają. W miłości zaś Polski mieści się również i miłość do Warszawy. Ale nie odwrotnie.

Jan Bielatowicz

*) **Kazimierz Brandys MIASTO NIEPOKONANE. Opowieść o Warszawie. „Książka i Wiedza", Warszawa 1949.**

„TWÓRCZOŚĆ A RELIGIA"

CYKL WYKŁADÓW W K.U.L.-u

Z inicjatywy Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w auli K.U.L. w dniach od 22 do 29 kwietnia rb. odbywały się wykłady pod ogólnym tytułem: **„Twórczość a religia".**

Tematami wykładów były: „Wytwórczość a piękno", „Pierwiastki religijne w sztuce plastycznej", „Problem powieści katolickiej", „Katolicka krytyka literacka", „Problemat artysty", „Poezja a religia", „Problemy ideowe w muzyce", „Malarstwo religijne".

Poszczególne tematy opracowali: Dr Stefan Świeżawski, Jacek Woźniakowski, Antoni Gołubiew, Jan Dobraczyński, Jerzy Zawieyski, Jerzy Turowski, Stefan Kisielewski i Antoni Michalak.

Z K R A J U

DEFILADA 1 MAJA W WARSZAWIE

W obchodach pierwszomajowych brały udział tłumy widzów i oddziały wszelkiego rodzaju urzędników, robotników, członków organizacji społeczno - państwowych itd. Defiladę przyjmował Bierut z trybuny w Al. Jerozolimskich.

Cała heca zaczęła się o godz. 10 rano. Bierut zjawił się na trybunie i oto „ucisza się świąteczny gwar, milkną śpiewy i muzyka — z zainstalowanych wszędzie megafonów płyną na cała Polskę słowa przemówienia" Bieruta. „Orkiestra gra hymn narodowy. Zrywają się owacje" i t.d.

Pochód otworzyły poczty sztandarowe: „Sztandar Narodowy, Sztandar KC PZPR, Sztandary stronnictw politycznych(!), organizacji społecznych i młodzieżowych. Defilują sportowcy z zasłużonymi mistrzami sportu na czele,.. młodzież,... profesorowie i studenci Uniwersytetu i Politechniki.

„Studenci Akademii Sztuk Plastycznych... zorganizowali ‚pogrzeb formalizmu' — sztuki aspołecznej. Na trumnie (widniały) wieńce z emblematami dolara i swastyki hitlerowskiej."

Pracownicy redakcji „Dziś i jutra" i „Słowa powszechnego" nieśli transparenty z następującymi hasłami: „Porozumienie Państwa Ludowego z Kościołem Katolickim służy sprawie Frontu Narodowego, walki o pokój i Planu 6-letniego", „Sprawa granic na Odrze i Nysie, Planu 6-letniego, sojuszu z ZSRR i obrony pokoju jednoczy wierzących i niewierzących", „Protestujemy przeciw wykorzystywaniu religii katolickiej dla wskrzeszenia imperializmu niemieckiego".

Wreszcie Bierut i zaproszeni goście zobaczyli przemarsz „Cyrku Trumanillo", którego występ nosił nazwę: „Dolarowe wesele, czyli atomowe zaślubiny". „Oto panna młoda — Adenauer i pan młody — gen. Eisenhower. Orkiestra przybrana w mundury przypominające hitlerowskie, na hełmach napisy ‚U SS A'. „Krupp celuje z armaty w tłum, Schacht ma teczkę pełną pieniędzy (dlaczego?), maszeruje świeżo zwolniony hitlerowski generał. Pięknie.

Defilada trwała 6 godzin.

Festiwal Muzyki Polskiej rozpoczął się w całym kraju w dniu 13 ub.m. W Warszawie festiwal rozpoczął się w Państwowej Filharmonii koncertem inauguracyjnym, na który składały się: „Suita staropolska" A. Panufnika, koncert skrzypcowy A-dur Karłowicza (solista — W. Wiłkomirska), II symfonia Balcewiczówny (prawykonanie), oraz fragmenty „Harnasiów" Szymanowskiego.

„Spotkania włoskie" M. Brandysa ukazały się w przekładzie rosyjskim nakładem Wydawnictwa Literatury Obcej w Moskwie.

W roku 1952 wykończony zostanie w Krakowie ośrodek młodzieżowy mieszczący 600 studentów.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: **Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734.** Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie** wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na Veritas **Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w t e k ś c i e 50% drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. **Przedstawicielstwo:** „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. **BELGIA:** miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Zbigniew Wróbel, 43, rue d'Irlande, Bruxelles, St. Gilles — **FRANCJA:** miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2. i Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — **SZWAJCARIA:** kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U. Veritas. Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2 — **SZWECJA:** miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund, Sverige, Sweden. — **U.S.A.:** — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztąlotniczą 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 22, E. 33rd Street, Bayonne, N.J., USA.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734